Leszek Bigos - „Implant”

1.

– „Wy już nie jesteście ludźmi” i „Precz ze sztuczniakami”. Między innymi takie transparenty niosą manifestanci, których siedemdziesiąt tysięcy maszeruje właśnie ulicami Warszawy – raportowała z ulicy Marszałkowskiej filigranowa dziennikarka stacji InfoSat, Konstancja Piątkowska. – Jest z nami organizator marszu, prezes Stowarzyszenia „Blizna”, Maciej Cezarewicz. Panie prezesie, jaki jest powód tej demonstracji?

– Witam serdecznie – przywitał się długowłosy, chudy jak patyk rozmówca w bojówkach i koszuli koloru khaki. – Łączą nas te same niepokoje, co prawdziwych ludzi na całym świecie. Implantologia wymknęła się spod kontroli i ludzkość traci tożsamość. Apelujemy do widzów, którzy czują się wyrzuceni poza nawias, gorsi lub zmuszeni do nierównej konkurencji z mechatykami. Dołączcie do nas! Nie jesteście sami!

Prezes zwrócił się w stronę mijającego go za plecami tłumu. Wzniósł pięść i krzyknął ponownie: „Nie jesteśmy sami!”. Przechodzący odpowiedzieli okrzykami, usiłowali wcisnąć swoje transparenty przed obiektyw kamery. Zmęczeni życiem robotnicy z frustracją wypisaną na twarzach. Radykalna młodzież w krzykliwych, asymetrycznych strojach i równie krzykliwych fryzurach. Przedstawiciele klasy średniej, którzy zwykli siedzieć cicho i pracować, zamiast brać udział w takich zgromadzeniach. Wszyscy.

Redaktor Piątkowska ze sztucznym uśmiechem starała się zaprowadzić porządek. Cezarewicz przyglądał się temu chwilę, po czym uniósł rękę na znak, że wystarczy. Dopiero wtedy zapanował spokój. Dziennikarka poprawiła grafitową garsonkę i długie fioletowe włosy, popularne wśród kobiet z jasną karnacją. Zapytała, czy mogą kontynuować. Cezarewicz z uśmiechem potwierdził.

– Jaki jest polityczny cel pańskiej organizacji?

– Musimy wywrzeć presję na Radę Kanclerską, by ograniczyła rozpasanie korporacji biomedycznych, które okradają nas z człowieczeństwa i w imię zysków żerują na ludzkich słabościach.

Hipisowska stylizacja prezesa była ewidentnym ukłonem w stronę kontrkultury i wabikiem dla młodzieży. Nie mogła jednak ukryć pewnej

gestykulacji i spokojnego głosu. Cezarewicz był dojrzałym liderem, świadomym skali poparcia, jakim się cieszył. To była jego demonstracja siły.

– Przeciwnicy zarzucają, że hasła, które pan głosi, trącą populizmem – dociekała Piątkowska. – Złe korporacje odczłowieczające ludzi, uzależniające ich dobrobyt od tego, jak zaawansowanymi staną się w wyścigu technologicznym… Naprawdę jest aż tak źle?

Wzrok Cezarewicza -zlodowaciał, podobnie jak głos.

– Proszę powiedzieć to mojej córeczce, która zdając egzaminy do szkoły, będzie musiała konkurować z koleżanką z implantami Mindnet w mózgu. Albo mojemu sąsiadowi, który stracił pracę w magazynie, bo pojawił się konkurent z hydraulicznym endoszkieletem. Ja chcę tylko sprawiedliwości, ustanowienia właściwego prawa i właściwego miejsca mechatyków w społeczeństwie.

– Jak dotąd manifestacja przebiega pokojowo, choć wielu uczestników wbrew prawu zasłania swoje twarze...

– „Blizna", zapamiętajcie tę nazwę! – Cezarewicz przyciągnął mikrofon w swoją stronę – Ja sam mam szpetną bliznę na policzku i bielmo na lewym oku, ale to także jest część mojej tożsamości, nie wstydzę się jej. Nie będziemy gonić za korporacyjnym ideałem by ci wieprze napychali sobie naszym kosztem kieszenie!

Piątkowska krótkim, acz stanowczym ruchem wyszarpnęła mu mikrofon z ręki i ucięła:

– Dziękuję panu za rozmowę. Oddaję głos do studia.

Cezarewicz, zadowolony z wymowy swojej puenty, nie protestował.

– Dziękuję, Konstancjo – odparł ze zmieszaniem burzącym nieco urodę telewizyjnego amanta redaktor Mateusz Wilk, prowadzący poranny „Dziennik". – A państwa zapraszam na dwudziestą pierwszą do programu „Kuźnia Opinii". Oprócz prezesa Stowarzyszenia „Blizna" gościem będzie Eliasz Gutz, prezes ImplaTECH. A teraz sport.

2.

– Banda nieudaczników... – mruknął z niesmakiem Kostecki, przełączając kanał. Leżał nago, rozwalony na pomiętej, satynowej pościeli, wpatrując się tępo w obraz z projektora holograficznego. – Szukaj erotyki – polecił.

– Wyszukiwanie nie powiodło się – rozbrzmiał z głośników dystyngowany bas interaktywnego asystenta domowego „Henry Krammer". Wersja 2.0 okazała

się przebojem wśród milionerów i wyższej klasy średniej. – Czy mam odnowić subskrypcję kanału Gent's Club?

– Która jest? Uchh... nie. Przejdź na tryb „kacowy", Heniek.

– Tak jest, proszę pana – odrzekł asystent. Wyglądający jak sosnowa szafka nocna minibar zaszumiał i przez otwór w blacie wyjechała masywna szklanka wypełniona do połowy zimną wódką z sokiem cytrynowym zmieszanych w proporcjach 50/50. Kostecki szybko sklinował, skrzywił się i odstawił szklankę.

Dmuchawy wysysały już przepite resztki klubowego powietrza, wtłaczając na jego miejsce nowe, o aromacie Puszczy Kampinoskiej – nowość na rynku. Chromowe żaluzje podniosły się, rozświetlając półmrok. Kostecki wstał i mrużąc oczy, podszedł do weneckiego przeszklenia, które zastępowało zewnętrzną ścianę salonu. Za nim rozciągał się widok na warszawskie śródmieście roku 2112.

Trzy dekady wcześniej, podjęto decyzję o gruntownej przebudowie Centrum. Wyrugowano wszystkich w kwadracie Solidarności – Kanclerskiej/Biznesowej (dawne Towarowa i Raszyńska) – Wawelskiej/Brygad Cyfrowych (dawnej Armii Ludowej) i Solca/Dobrej, a ponad połowę budynków zrównano z ziemią. Na ich miejscu wyrosło kilkaset szklanych wież biurowców, oplecionych wieńcem dziesięciopoziomowych aerostrad. Nowopowstałą dzielnicę biznesową otoczył malowniczy park. Na tle zniszczonych terrorwojną stolic europejskich, centrum Warszawy wyróżniało się nowoczesnością i estetyką.

– Henry, idę pod prysznic, ogarnij tu – zaordynował Kostecki. Sztachnął się leśnym powietrzem i poszedł do łazienki, mijając slalomem roboty sprzątające.

Jarosław Kostecki nie miał powodów do narzekania. W wieku trzydziestu czterech lat zarządzał już kapitałem intelektualnym w firmie produkującej części do aparatury medycznej. Kosmiczne raty za apartament na czterdziestym piętrze przy ulicy Stawki nadwyrężałyby pewnie jego budżet, gdyby nie fakt, że wydawał go tylko na siebie.

Chłodny prysznic jedynie pozornie pomagał zrelaksować i wyłączyć umysł. Pracował on bowiem na pełnych obrotach za sprawą implantów, które zasilały mózg informacjami pochodzącymi z Mindnetu. Nazywano go także „klastrem umysłów" i trudno o trafniejsze określenie. Chip monitorował aktywność mózgu i wyszukiwał żądane informacje w umysłach osób o podobnych preferencjach.

Zwolennicy Mindnetu, oczarowani możliwościami „biernej nauki", już pracowali nad sposobem wpajania w ten sposób norm kulturowych i społecznych i wieszczyli zastąpienie nim tradycyjnej edukacji i wychowania, nie wspominając o rewolucji w komunikacji: Mindphone był już ponoć w fazie testów. Tymczasem Kostecki korzystał z dobrodziejstw Mindnetu, przyswajając

pod prysznicem wiedzę z zakresu wywierania wpływu, erystyki i komunikacji niewerbalnej.

Przy stu dziewięćdziesięciu czterech centymetrach wzrostu mężczyzna imponował atletyczną budową ciała, choć nie zawdzięczał jej przerzucaniu żelaza an siłowni. Z pomocą przyszedł komplet domięśniowych implantów stymulacyjnych. Skład krwi, poziom zapotrzebowania na składniki odżywcze i mikroelementy monitorowały sensory zainstalowane w aorcie i móżdżku. W oparciu o wyniki, aplikacja sugerowała odpowiednią dietę.

Korzystając z osobistych układów i zniżek dla kadry kierowniczej, Kostecki zafundował sobie gruntowny zestaw ulepszeń: tytanowe utwardzenie kości, syntetyczną osłonę kręgosłupa, sztuczną siatkówkę i soczewki, pozwalające na trzydziestokrotny optyczny zoom, dodatkowe nerwy słuchowe, wsparcie błędnika. Oprócz tego przeszedł kilka mniejszych operacji plastycznych: uwypuklenie żuchwy, korektę nosa i kości oczodołu, zmianę koloru tęczówki na ciemny brąz, pasujący do kruczoczarnych, sięgających ramion włosów, w końcu powiększenie penisa i wszczepienie impulsowego stymulatora erekcji.

– Oczekujące połączenie video, proszę pana – zakomunikował Henry Krammer 2.0.

– Powiedz, że oddzwonię – odrzekł Kostecki, spłukując głowę.

– To pan Talar, mówi, że bardzo pilne.

– Psiakrew. Wrzuć go na podgląd na lustro.

Tafla pokryta grafenową powłoką była nie tylko odporna na zaparowanie, służyła też za wygodny dotykowy monitor. Zwłaszcza dla kobiet, które lubiły ucinać sobie niekończące się pogawędki o makijażu. Faceci z kolei zwykli używać go do chwalenia się wielkością stolca, co wprawiło w zdumienie agencję reklamową badającą użyteczność tego wynalazku.

– Jarek, jesteś tam? Słyszałeś, co się dzieje?

– A co ma się dziać? Niedziela jak zwykle.

– Czyżby? W takim razie podejdź do okna.

Kostecki przetarł uszy i wycierając włosy ręcznikiem, wyszedł do salonu. Od razu rzuciły mu się w oczy kłęby czarnego dymu z wolna okalające wieżowce Śródmieścia. Wpatrzony w okno powiedział półgłosem:

– Heniek, wrzuć go na hologram.

Po chwili, na środku salonu pojawiła się postać Krzysztofa Talara w granatowej poświacie.

– Widzisz, Jarek? To nie są jakieś gówniane zamieszki, tylko prawdziwa bitwa! Idealna okazja, by wypróbować nasze zabawki.

Kostecki uśmiechnął się w duchu.

– Bądź gotowy za pół godziny, Krzysiu. Jedziemy na polowanie.

3.

– Czekam tam, gdzie zawsze, możesz schodzić – powiedział Kostecki przez telefon zintegrowany z komputerem pokładowym samochodu.

– Daj mi jeszcze dziesięć minut – usłyszał w głośnikach odpowiedź.

– OK. Tylko rusz tyłek – rzucił Kostecki i dotknął na panelu ikonę przerywającą połączenie. Zawsze muszę na niego, kurwa, czekać, pomyślał poirytowany.

Poznali się z Talarem podczas wyjazdu na skoki spadochronowe i okazało się, że zamiłowanie do ekstremalnych dyscyplin, sportów walki i militariów jest jedną z wielu rzeczy, która ich łączyła. Obydwaj byli młodymi, acz już ustawionymi menedżerami, działającymi w tej samej branży. Mieszkali na Muranowie, który, po pozostałościach Powiśla, uchodził za drugą pod względem ekskluzywności dzielnicę mieszkaniową stolicy. W końcu obydwaj też lubowali się w halucynogenach, imprezach klubowych i szybkim seksie z „aspirującymi" lolitami.

Przy całej sympatii, Kostecki nie mógł obojętnie przejść obok faktu, że wszystko, co posiadał Krzysztof Talar, było zawsze nieco lepsze. Mieszkał w apartamentowcu przy Świętojerskiej, czyli całe sześćset metrów bliżej do dystryktu finansowego. W czteromilionowej Warszawie, tłoczącej się wokół jednego, głównego zagłębia biznesu, każda przecznica stanowiła o różnicy statusu. Nie wspominając o dodatkowych dwudziestu metrach powierzchni mieszkania Talara.

Pracował zaś w ImplaTECHu, firmie, która razem z PharmaTECHem i HealthTECHem tworzyła tak zwany „triumwirat", czyli najpoważniejszego globalnego gracza w branży medycznej. Firma Kosteckiego była jednym z podwykonawców uzależnionych od ImplaTECHu. Potentat nie skąpił co prawda dotacji na badania, lecz w zamian regularnie podbierał im inżynierów. Kostecki liczył zresztą, że pójdzie w ich ślady, i to od razu wysoko, dzięki protekcji przyjaciela.

Cóż – powtarzał sobie Kostecki – przynajmniej jestem od niego wyższy i przystojniejszy.

– No, jestem – powiedział Talar. Wrzucił pokaźną torbę do bagażnika i usiadł na siedzeniu pasażera. Poprawił zaczesane do góry blond włosy, błysnął świeżo zoperowanymi lazurowymi oczami i perfekcyjnym uśmiechem.

– Wreszcie – nie ukrywał irytacji Kostecki. – Ile można się brandzlować? Jeszcze chwila i nie będziemy mieli po co jechać.

– W takim razie przestań zrzędzić jak opozycja i dawaj gazu!

Kostecki położył ręce na kierownicy. Detektory linii papilarnych potwierdziły jego tożsamość i silnik solarowy wydał przyjemny warkot. Rotograwitatory pod pojazdem skalibrowały się ze stabilizatorami po bokach i na dachu. Sportowy Lamborghini UrbanSwift wzbił się w powietrze.

– Spierdalać, parchy, szlachta jedzie! – krzyknął, lokując się od razu na piątym poziomie aerostrady.

– Yeeeeeee-haaaaaaa!

Gdy skręcili w Andersa, wcisnął gaz do dechy.

– Setka w 3,6 sekundy, hahaaa!

Przy stu czterdziestu śmignęli nad Placem Bankowym, który uchodził za oficjalną „bramę" do dzielnicy finansowej. Mogli sobie pozwolić, bo korytarze wjazdowe do Centrum były puste, a policja miała ważniejsze sprawy na głowie. Kostecki skręcił w prawo w Ptasią, robiąc efektowną beczkę w powietrzu, i wjechał na niestrzeżony parking. Wybrał zacieniony kąt na drugim poziomie i wyłączył silnik. Wyjęli sportowe torby z bagażnika. Ukryci za samochodem, w milczeniu rozebrali się do naga. Zgrzytnęły suwaki, odkrywając zgromadzony w torbach ekwipunek.

Najpierw ściśle przylegająca do całego ciała, oddychająca neuropianka, wyposażenie elitarnych oddziałów szturmowych. Wzmocniona siatką inteligentnych, kurczliwych włókien, zwielokrotniała parametry siłowo-dynamiczne organizmu w ruchu.

Na nią ciasny, proksenowy kombinezon, elektro- i wodoodporny. Proksenowa balaklawa z pancerzem na karku i potylicy.

Lekka, dopasowująca się do kształtu ciała, pięciomilimetrowa kamizelka kuloodporna, powlekana fotodyfraktorem. Chroni przed tradycyjnymi pociskami małego kalibru i laserem o niskiej mocy.

Buty ze stalowymi okuciami i izolacją z utwardzonego proksenu.

Gogle przeciwbłyskowe nieprzepuszczające substancji drażniących. Antyhukowe membrany douszne. Filtr tlenowy do nosa.

Komunikator z aplikacją szyfrującą.

W końcu broń.

Rękawice neuropiankowe ze stalowymi wzmocnieniami na knykciach. Teleskopowy baton z paralizatorem. Nóż wojskowy. Wyglądająca jak pistolet racowy ręczna wyrzutnia granatów, tak zwanych „orzechów", do niej pas z wygodnym podajnikiem. W zestawie amunicja dymna, szokowa, łzawiąca, paraliżująca, błyskowa, magnetyczna, elektryczna, impetowa i hiperbaryczna.

Wreszcie: klasyczny, dwudziestowieczny glock z pełnym magazynkiem.

Mężczyźni wyszli z samochodu w pełnym rynsztunku ukrytym pod brązowymi prochowcami.

– Nie wierzę, że to się dzieje, stary… – Kostecki aż buzował od adrenaliny. – Jeszcze się nie zaczęło, a już czuję, że nic, co przeżyłem do tej pory, nie będzie mogło się z tym równać.

– Posyp, bo mnie trzęsie.

Kostecki wyjął zapalniczkę z kieszeni. Dyskretnym przyciskiem uchylił otwór w jej dnie i usypał na masce dwie solidne ścieżki. Wciągnęli. Gdy ustąpił pierwszy kop, zażyli po trzy kapsułki suplementów przyspieszających metabolizm i odprowadzanie produktów ubocznych z mięśni.

– Zróbmy to, kurwa! Jesteśmy tymi pionierami czy nie?! – Kostecki włożył z powrotem filtr do nosa i roztarł ręką pięść.

– Jesteśmy pieprzonymi królami świata!

Nabuzowani, ruszyli pieszo w kierunku placu. Serca waliły jak młoty pneumatyczne, mózgi raz po raz eksplodowały w euforii pod ekstatycznym działaniem cyzytoiny. Przerażenie wymalowane na twarzach pojedynczych pokrytych pyłem uciekinierów, streszczało wydarzenia z Placu Niepodległości. Syreny policyjne, huk granatów, wystrzały, świst statków powietrznych i rosnący rumor wściekłego tłumu dobiegały z dawnego Placu Defilad. Kostecki z Talarem weszli w ulicę Emilii Plater i zamarli w bezruchu.

Od placu oddzielał ich pojazd opancerzony i kordon policji, około dwustu funkcjonariuszy w ciemnogranatowych hełmach i pancerzach. Chronili się dodatkowo tarczami przeciwimpetowymi. Uderzenie w taką tarczę oddawało agresorowi z podwójną siłą. Kordon był jednak zwrócony w stronę demonstrantów, nikt nie zwracał uwagi na dwóch osobników stojących za ich plecami.

– Ależ mamy szczęście! – podniecił się Talar.

– Oto nasze karpie na Wigilię – odpowiedział Kostecki, poprawiając gogle i ułożenie balaklawy. Spojrzeli sobie w oczy.

– Gotowy?

– Jak się bawić, to się bawić!

Talar uśmiechnął się i skinął głową.

4.

Organiczny rekord świata na sto metrów wynosił 8,89 sekundy. W neuropiance – 5,47. W biegu na kilometr pozwalała zejść poniżej trzydziestu sekund, przy organicznym rekordzie 1:51,96. Pod rosnącym obciążeniem włókna neuropianki pracowały mocniej. Jedyną barierę stanowiły ograniczenia organizmu, który ją nosił. Tym razem pod pianką pracowały stymulowane implantami mięśnie, przyczepione do utwardzonych tytanem szkieletów.

Napastnicy ruszyli, napędzani technologią, narkotykiem i ekscytacją. Ich przybycie obwieściły granaty impetowe.

Ładunki eksplodowały wśród zdezorientowanych policjantów. Ich tarcze podwoiły siłę skompresowanego powietrza, zwalając z nóg wszystkich wokół. Kolejne granaty rozbijały szpaler służb prewencyjnych, powodując efekt domina. Ludzkie kukły odbijały się od tarcz jak piłki na pinballowym stole.

– Za nami!!! – krzyknął jeden z policjantów. Za późno.

Kostecki z Talarem wpadli w nich przy pełnej prędkości jak dwa tarany, wybijając potężne dziury w tym, co zostało z szyku. Gdy wdarli się do środka, strzeliły granaty dymne. Korzystając z impetu po szarży, bili, gdzie popadło, łamiąc przez pancerze żebra i kończyny, zostawiając za sobą we mgle wyjących z bólu i bezsilności rozbitych stróżów prawa.

Byli niemal szybsi od oka, niepowstrzymani, uzbrojeni jak komandosi, pijani szałem. Wzmocniony chirurgicznie wzrok doskonale radził sobie w gęstym jak sos dymie, lecz w ostateczności mogli obejść się bez niego. Sztuczne nerwy słuchowe, wsparte mocą obliczeniową chipów zainstalowanych w mózgach, mapowały otoczenie jak sonar. System wyliczał przewidywane ruchy przeciwników, pozwalając na niemal wyprzedzającą reakcję. Uniki balansowały na granicy równowagi dzięki błędnikowi zintegrowanemu z systemem. Cyzytoina zamieniła wytrenowane do granic organizmy w działające instynktownie maszyny do walki.

– Przegrupować się! Przegrupować!

Stojący jeszcze o własnych siłach funkcjonariusze owszemstarali się ale uciec jak najdalej od pobojowiska, które wyłaniało się z rzednącego dymu. Cały kordon, dwustu chłopa rozbitych w minutę. Klęska.

Kostecki szybko ochłonął. Wrzucił kilka tarcz pod tylne koła wozu pancernego, a między nie pięć uzbrojonych granatów impetowych.

– Długa! – krzyknął do partnera przez komunikator.

Fala uderzeniowa zmiotła ciała z ulicy, ciskając nimi o ściany okolicznych budynków, w których szyby na pierwszych dziesięciu piętrach obróciły się w miał. Kilkutonowy pojazd stanął na zderzaku, po czym z metalicznym łoskotem

runął na dach. Wybuch przykuł uwagę demonstrantów. Widząc zdziesiątkowane siły policyjne, rzucili się na nie z krzykiem, by dokończyć dzieła.

Prawdziwi napastnicy byli już daleko. Ukryci w alejce porzucili prochowce i w pośpiechu zakładali na wierzch mundury, zdarte z ogłuszonych gliniarzy.

– Niesamowite, człowieku, jakie osiągi! Na treningach nawet się nie zbliżyliśmy do tego poziomu! – Talar był wciąż w euforii.

– Sam jestem w szoku. – Kostecki uśmiechnął się szeroko. – Nie wolno nam się podpalać, to była tylko rozgrzewka. Trzymajmy się planu – dodał.

Przebrani dobiegli do placu, który buzował jak hałaśliwe gniazdo os. Stłoczony tłum przelewał się, szarpał siły policyjne, raził z barykad wzniesionych z samochodów, ławek, także mebli i sprzętów z plądrowanych wieżowców. Policjanci odpowiadali gazem łzawiącym, armatkami wodnymi i granatami impetowymi. Trzy awionetki huczały nad głowami demonstrantów, rozwiewając czarny dym z płonących wystaw sklepowych i biur. Ogień bitewny rozgorzał na nowo. Ogień w oczach dwóch prowodyrów jaśniał razem z nim.

U zbiegu Sienkiewicza i Emilii Plater trwała regularna walka. Demonstranci zdecydowanie przeważali nad rozproszonymi wcześniej oddziałami, zarówno liczebnie, jak i pod względem morale. Desperackie rozkazy z komunikatorów policyjnych, nawołujące do utworzenia zwartej formacji, na nic się nie zdawały. Tłuszcza zgniatała mundurowych. Dwudziesto-, trzydziestoosobowe grupy funkcjonariuszy dryfowały jak plamy oleju w oceanie rozwścieczonego tłumu, opędzając się granatami elektrycznymi, bronią impetową i gazem łzawiącym; próbowały się przebić, połączyć. Statki powietrzne były w tej chwili tylko hałaśliwymi atrapami, użycie przez nie siły uderzyłoby również w służby porządkowe. Posiłki z innych krańców placu nie nadciągały, blokowane przez pikietujących, w których wstąpił nowy duch. Jakby wszechogarniający huk i gryzący dym tylko ich rozdrażnił.

– Zaprzestańcie walki! Nie dajmy się sprowokować sługusom systemu! Walczmy o czystość rodzaju ludzkiego w sposób pokojowy! – Kostecki słyszał już gdzieś ten głos. Dźwięki z potężnych kolumn zainstalowanych na scenie pod wschodnią ścianą Pałacu Solidarności przebijały się przez bitewny zgiełk. – Czy nie widzicie, że wzniecając zamieszki, dajemy korporacjom i rządowi argumenty przeciw nam? Apeluję, przestańcie! Prawda sama się obroni!

– Co to za pajac? – zirytował się Talar.

– Pajac, nie pajac, ale wydają się go słuchać. – Kostecki spojrzał po stygnącym tłumie. – Czas dolać oliwy do ognia i wyrównać szanse.

– Tak jest, panie władzo – odparł z sarkazmem Talar i zamknął wizjer hełmu, gdy grupa krewkich demonstrantów dostrzegła dwóch mundurowych stojących pod ścianą wieżowca.

– Na nich! – krzyknął grubas w kominiarce, ze słupkiem parkingowym w ręku. I zamarł zaskoczony, widząc, że policjanci sami biegną w ich stronę.

– O, kur… – nie dokończył. Rozpędzeni jak pociski przeciwnicy wtargnęli w sam środek demonstracji. Talar ostrzeliwał drogę nabojami szokowymi, a Kostecki usuwał ogłuszonych z drogi amunicją impetową. Tłum szybko stracił animusz, widząc, że ma do czynienia z kimś więcej niż szeregowcami z prewencji. Ściana policjantów spętanych rozkazami nie przerażała ich tak, jak ściana bezwzględności bijąca od tych dwóch umundurowanych osobników.

– Czas się rozdzielić. Widzimy się za kwadrans pod pomnikiem Wałęsy – zaordynował Talar. Kostecki skinął głową i zaczął torować sobie drogę na północ, jego towarzysz skierował się w przeciwną stronę. Szybka demonstracja siły przebiła balon odwagi, spanikowani ludzie zaczęli zachowywać się jak ławica małych rybek wokół rekinów.

Dopiero widząc to, Kostecki z Talarem poczuli władzę. Nie musieli nawet uciekać się do przemocy, wystarczyło okazjonalnie detonować nad głowami uciekających granaty szokowe. Nakręcająca się spirala paniki karmiła ich serca pychą i poczuciem bezkarności. Teraz zrozumieli ten fenomen. Nie chodziło o walkę, adrenalinę czy chęć sprawdzenia się, tylko o poczucie kontroli. Na tym polegał RIOTING, najbardziej ekstremalny „sport" świata.

Kostecki obchodził pałac od północnej strony. Stojąc na schodach, widział, jak policja stopniowo obejmuje kontrolę nad bezładnym tłumem.

– Apeluję po raz kolejny o nieuleganie prowokatorom! – rozległ się znajomy głos. – Zachowajcie spokój! Policja jest tu po to, by was chronić, a nie… – dźwięk utonął w metalicznym huku policyjnego statku bojowego. Trzydziestometrowy srebrny kadłub zatrzymał się nad głową Kosteckiego i oślepiał blaskiem bijącym z rotograwitatorów, rozmieszczonych pod modułami po lewej i prawej stronie kabiny. Gdy Kostecki zdał sobie sprawę, że tym razem nie ma wokół niego ludzi, między którymi mógłby się schronić, z działka wyleciały pierwsze pociski paraliżujące.

– A gdzie „Ręce do góry", wy skurwysyny?! – krzyknął, rzucając się do ucieczki. Nie zdążył, seria powaliła go na ziemię. Kombinezon skutecznie chronił przed napięciem do stu tysięcy woltów, lecz sam impet pocisków wystarczył. Nie było mowy o nawiązaniu otwartej walki z takim kolosem. Kostecki chwiejnie podniósł się i w ostatniej chwili schował za wschodnią ścianą pałacu, gdy kolejna seria z działka taserowego przeszyła chodnik.

– Czekajcie, ja wam pokażę – zgrzytał zębami, programując podajnik na amunicją hiperbaryczną. Gdy statek wyłonił się nad budynkiem, Kostecki odpalił w jego kierunku całą serię.

Granaty hiperbaryczne powodowały gwałtowny skok ciśnienia w okolicy miejsca wybuchu. Przeznaczone dla oddziałów szturmowych, stanowiły nie lada

gratkę dla terrorystów – i riotersów, których na świecie była wciąż garstka. Od teraz dołączyło do nich dwóch nowych w Polsce.

Granaty trafiły w okolicę lewego silnika. Rozległo się tąpnięcie powietrza i jęk maszyny, która wpadła w korkociąg. Tłum zamarł, obserwując zmagania pilota. Gromkie „Aaaaaach" przeszło po placu, gdy lewy bok statku uniknął kolizji z iglicą, mijając ją ledwie o kilka metrów. Policyjne wahadłowce miejskie miały wystarczające rezerwy, by nawet przy połowie mocy ustabilizować maszynę.

Niestety, nie wszystkie stabilizatory działały. Statek wrył się w południową ścianę Pałacu Solidarności i z potężnym wstrząsem eksplodował.

Na placu zapanowało pandemonium. Jeden wielki, wielotysięczny krzyk. Histeria. Instynktowna ucieczka niepowstrzymanej tłuszczy popędzanej strachem. Tam, gdzie stał Kostecki, leżał jedynie porzucony mundur i hełm.

– Zachowajcie spokój, nie bądźcie dla siebie nawzajem zagrożeniem! – apelował cały czas człowiek stojący na scenie rozstawionej obok pomnika Lecha Wałęsy. Był przerażony, gestykulował żywo, ale trwał na swoim miejscu. Kostecki poznał go w końcu. Po bliźnie.

Gdy zdał sobie sprawę, na kogo patrzy, milion gwiazd rozbłysło mu przed oczami, jakby w jednej chwili wciągnął kilka dawek cyzytoiny. W głowie huczało od toksycznych myśli. Przerażony, nie był w stanie powstrzymać zalewającej go fali pierwotnej, nieujarzmionej nienawiści, która odbierała mu kontrolę nad organizmem.

Potem czuł się, jakby występował w zwolnionym filmie. Wskoczył z rozbiegu na kilkumetrową scenę. Z ochroną rozprawił się, jakby uczestniczył w balecie, nie walce. Chwycił Cezarewicza za włosy, przyciągnął do siebie. Zapamiętał wyraźnie bon mot „Wszczep sobie to", którym błysnął, nim skręcił mu kark.

Ostatni obraz, jaki wtedy zobaczył, to Talar wystrzeliwujący w jego kierunku granaty dymne. Gdy policja wbiegła na scenę i mgła się rozpłynęła, Kosteckiego już tam nie było.

5.

Redaktor Wilk, ubrany w czarny garnitur i grafitową koszulę z czarnym krawatem, wpatrywał się w podłogę z kamienną twarzą. Usłyszał dżingiel, operator dał mu znak, lecz on wciąż siedział pogrążony w milczeniu. Gość w studio milczał także. Gdyby nie jego ciemny strój i poważny wyraz twarzy, można by mu dać najwyżej trzydzieści lat. Nawet jego oczy jaśniały

młodzieńczym blaskiem. Mimo to w oficjalnej biografii widniała data urodzin „14 kwietnia 2035”.

– Mateusz, wystarczy – dziennikarz usłyszał w słuchawce. Podniósł wzrok i spojrzał w obiektyw.

– Szanowni Państwo, dzisiejszy dzień jest jednym z najbardziej dramatycznych w naszej współczesnej historii. Jeszcze kilka godzin temu, gdy jako jednego z naszych rozmówców anonsowałem Macieja Cezarewicza, przywódcę aktywistów działających przeciw ekspansji korporacji biomedycznych, nie przypuszczałem, że przyjdzie mi zacząć program od minuty ciszy, a fotel przeznaczony dla niego pozostanie nieobsadzony – prowadzący przeniósł wzrok do kamery po prawej. – Dzisiejsze wydanie w całości poświęcamy wydarzeniom z Placu Niepodległości. Moim gościem jest Eliasz Gutz, prezes polskiego oddziału ImplaTECH. Witam, panie prezesie. Jak się pan czuje ze świadomością, że w tak tragicznych okolicznościach zginął pański największy adwersarz?

– Witam pana, witam państwa. – Rozmówca się ukłonił. – Różniliśmy się nieco z panem Cezarewiczem w poglądach na temat rozwoju implantologii. Doceniam jednak, że był on człowiekiem otwartym na dialog, zawsze przygotowanym merytorycznie i – podobnie jak my – uważającym, że najważniejsze jest dobro ludzkości. Darzyłem go szacunkiem godnym nie tylko charyzmatycznego lidera, ale i naukowca. Jestem jego śmiercią głęboko wstrząśnięty. – Gutz potrząsnął głową.

– Działalność Macieja Cezarewicza przysporzyła jednak pańskiej firmie wielu problemów. Nie tylko używał wpływów politycznych i środków prawnych, by utrudniać ImplaTECHowi rozwój rynku medycyny syntetycznej w Polsce. Podnosił też kwestie etyczne i brak uregulowań prawnych dotyczących statusu osób „zmodyfikowanych”, wieszczył pojawienie się nowego typu wykluczenia społecznego – perorował Wilk, przyglądając się reakcji gościa, lecz jego twarz nie zdradzała żadnych oznak zdenerwowania. – Przede wszystkim zaś udało mu się obrócić przeciw wam opinię publiczną. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem, jak ramię w ramię maszeruje socjalista z narodowcem, cybermłodzież z pokoleniem swoich rodziców, klasa średnia z robotnikami.

Gutz nie dał się wyprowadzić z równowagi. Jego ruchy były tak płynne, a słowa tak dźwięczne, że aż nierzeczywiste.

– Czy dzisiejsze ofiary śmiertelne, wielomilionowe straty i bitwa z policją mają być objawem jedności narodowej wokół kwestii implantologii? Nie sądzę – tłumaczył ze spokojem. – Moim zdaniem Polacy wykorzystali neutralną światopoglądowo ideę, by wspólnie dać wyraz niezadowoleniu z polityki prowadzonej przez Radę Kanclerską. To bieda i poczucie separowania się władzy od problemów obywateli połączyła tych wszystkich ludzi.

– Gdyby Cezarewicz żył, miałby w tej sprawie inne zdanie – zauważył redaktor. – Akurat w kwestii implantologii lobbował za interwencjonizmem państwowym. Jego śmierć jest poniekąd ImplaTECHowi na rękę…

– Panie redaktorze, wypraszam sobie takie insynuacje. – Gutz wykrzywił twarz, zniesmaczony. – Media wszędzie szukają sensacji i konfliktów, a prawda jest taka, że mieliśmy z panem Cezarewiczem więcej wspólnego, niż się wydaje. Jestem pewien, że udało by się nam dojść do porozumienia. – Gutz odzyskał swoje neutralne rysy i wrócił do wdzięcznego, czarownego tonu wykładu. – Natomiast zakusy państwa na koncesjonowanie implantologii, nakładanie kagańca korporacjom takim jak ImplaTECH, jest wbrew interesowi społeczeństwa. Rewolucja w medycynie i komunikacji dokonuje się na naszych oczach, mamy szansę stać się w tej dziedzinie światowym pionierem. Nie wolno zmarnować takiej szansy i jestem głęboko przekonany, że pan Cezarewicz w głębi ducha też tak uważał. Mam nadzieję, że policji uda się złapać mordercę. ImplaTECH służy wszelkimi informacjami i zasobami technicznymi.

Redaktor podziękował Eliaszowi Gutzowi za rozmowę, uścisnął mu rękę. Gutz uśmiechnął się gorzko. Obrócili się na fotelach w stronę telebimu, na którym pojawiła się skupiona, lekko błyszcząca w świetle kamery twarz.

– Łączymy się z Piotrem Azarewiczem, byłym koordynatorem do spraw służb specjalnych. Jak pan skomentuje najnowsze ustalenia policji w sprawie zamachowców? Bo tak ich chyba należy nazwać?

– Witam państwa. Na chwilę obecną policji udało się ustalić, że napastników było dwóch oraz dysponowali zaawansowaną i kosztowną technologią, dostępną jedynie elitarnym jednostkom wojskowym. Choć morderstwo na zlecenie jest rozpatrywane jako jedna z hipotez, moim zdaniem to mało prawdopodobne – stwierdził Azarewicz. – Zamachowiec ujawniłby swoje intencje dopiero w bezpośrednim sąsiedztwie ofiary. W tym przypadku natomiast, napastnicy najpierw zaatakowali siły policyjne oddalone od niej o kilkaset metrów, by później podobnie potraktować biorącą udział w zamieszkach ludność cywilną. Innymi słowy, narazili się na niepotrzebne ryzyko, które mogło doprowadzić do fiaska misji. Zamachowcy tak się nie zachowują – tłumaczył były koordynator specsłużb.

– Jakie są wobec tego inne warianty, które należy wziąć pod uwagę? – dociekał Wilk.

– W państwach ogarniętych konfliktami wewnętrznymi, takich jak Stany Zjednoczone, Francja czy kraje arabskie, zaobserwowano już kilkakrotnie podobne zjawisko – odpowiedział Azarewicz. – Napastnicy mający przewagę technologiczną wybierają bitwy, zamieszki i masowe demonstracje, by przy użyciu przemocy antagonizować strony i wprowadzać chaos. Nazywają się „riotersami” i uważają swoją działalność za elitarny, ekstremalny sport. Z

dalszymi informacjami należy poczekać do momentu, gdy moje przypuszczenia znajdą oficjalne potwierdzenie – zakończył.

– W takim razie dziękujemy za rozmowę i czekamy na dalsze doniesienia – odparł Wilk i odwrócił się frontem do centralnej kamery. – A z państwem zobaczymy się już wkrótce, po reklamach.

6.

Talar poczuł niepokój. Był święcie przekonany, że przed wyjściem zamknął mieszkanie na zamek kodowy. Wyjął glocka spod płaszcza. Nacisnął panel, drzwi rozsunęły się z cichym sykiem i zamknęły zaraz za nim. Po chwili doszedł do niego kloaczny wręcz smród.

– To ja. Nie zapalaj światła.

Nie musiał. Sztuczne fotoreceptory sprawiały, że w ciemnościach widział lepiej niż kot. Podobnie jak jego niespodziewany gość.

– Jak się tu dostałeś?

– Musisz częściej zmieniać szyfr. Zostawiłeś odciski tylko na czterech cyfrach, wystarczyło wstukać którąś z dwudziestu czterech kombinacji. Trafiłem za trzecim razem – uśmiechnął się Kostecki. – Cała ta technologia to szajs, nic nie zastąpi potężnego, żeliwnego klucza.

– A co gdyby któraś z cyfr się powtarzała? – Talar odłożył pistolet i usiadł w fotelu. Kostecki siedział w drugim, po przeciwległej stronie stołu. Na zewnątrz była już noc, lecz od strony Centrum wciąż dochodziły odgłosy syren policyjnych. Siedzieli tak w ciemnościach i przyglądali się sobie. Obaj pod płaszczami kryli pełen rynsztunek i wiedzieli o tym.

– Capisz, przyjacielu – przerwał ciszę Talar. – Jak wydostałeś się z oblężenia?

– Plan B – odparł Kostecki. – Kanały. A ty?

– Z tłumem. Wmieszałem się. Ale mnie było łatwiej, bo zwróciłeś na siebie cała uwagę.

Kostecki nie odpowiedział.

– Muszę się napić. Chcesz drinka?

– Podwójnego. To, co zawsze – westchnął Kostecki i przetarł oczy. Gospodarz przerzucił płaszcz przez oparcie fotela, po czym podszedł do barku. Zalał dwie szklanki wódką z sokiem cytrynowym, następnie wpuścił do nich z dozownika dwie błękitne kapsułki, po których szklanki się zeszroniły. Postawił

drinka przed Kosteckim, ten od razu wziął potężny łyk, po którym odetchnął głęboko.

– Lepiej?

– Lepiej.

– W takim razie mów, co się tam, kurwa, stało. Człowieku, zestrzeliłeś policyjną awionetkę, załoga katapultowała się w ostatniej chwili. Zresztą chuj z awionetką, zamordowałeś człowieka z zimną krwią! Tego nie było w zasadach gry, na to się nie pisałem! – gorączkował się Talar. Kostecki obserwował jego żywiołową gestykulację i coraz bardziej gotował się w środku. Słuchał jednak dalej.

– …do tego teraz włamujesz się do mojego mieszkania i potencjalnie wystawiasz na strzał policji. Za rioting dadzą mi maks dziesięć lat, ale kto wie, czy nie oskarżą o współudział w morderstwie? Za to mogę dostać dwa razy tyle.

– Osłaniałeś moją ucieczkę, to tak jak współudział – potwierdził sucho Kostecki i spojrzał na Talara znad szklanki. – Skończyłeś jęczeć? To zamknij pysk i słuchaj – rozkazał. Talar usiadł i sam wziął porządnego łyka.

– Możesz być spokojny, jeżeli nie złapali nas do tej pory, to raczej nie złapią wcale. Przygotowałem się na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, by nie mogli nas namierzyć. Zawczasu zaminowałem samochód…

– Co???

– Tak, moje piękne lamborghini poszło się jebać, jest nie do zidentyfikowania. Kilka okolicznych aut zapewne też. – Kostecki napił się. – Nie martw się, powiem, że mi ukradli, łatwo to będzie zrzucić na karb zamieszek. Zwrócą mi z ubezpieczenia. – Puścił Talarowi oko. – No i zniszczyłem nadajnik. Ty też, mam nadzieję.

– Owszem. Wyjechałem za miasto, wróciłem dopiero po zmroku. Dlaczego nie poszedłeś do swojego mieszkania? – Talar spojrzał podejrzliwie.

Twarz Kosteckiego zdradziła wahanie i niepewność. Pociągnął ze szklanki, nachylił się i spojrzał Talarowi w oczy.

– Potrzebuję cię. Ten, który zabił tamtego człowieka… to nie byłem ja.

Talar uniósł brwi, z trudem tłumiąc chęć, by wrzasnąć.

– Balaklawa zasłaniała ci twarz, więc pies trącał tych kilkanaście tysięcy ludzi pod sceną, ale nie rób idioty ZE MNIE.

– Ktoś włamał się do mojego mózgu, rozumiesz? – nie wytrzymał Kostecki. – Jakimś cudem zhakował ten pieprzony chip, posłużył się mną jak marionetką! Czuję się, jakby mnie ktoś zgwałcił… – wycedził przez zęby.

– To… to niemożliwe. Czemu akurat twój chip? Przecież ja też mam taki!

– Nie wiem, może po prostu byłem bliżej sceny? Tak czy inaczej, musimy czym prędzej pozbyć się tego gówna – zawyrokował Kostecki. – Twoja firma jest producentem, jutro z samego rana idziemy do kliniki przeprowadzić ekstrakcję. Użyj swoich wtyk, by przyjęli nas od razu. W pracy dowiesz się wszystkiego o zabezpieczeniach. Musisz ostrzec firmę, że ktoś używa ich wynalazku jako broni.

Talar spuścił wzrok, łyknął wódki i spojrzał kątem oka na Kosteckiego.

– Nie patrz tak, przecież mnie znasz. Widziałem tego człowieka raz w życiu, dziś rano w telewizji. To był jakiś lewak walczący z implantami. Wyszło, że przez nie zginął, więc jakby miał rację… – Kostecki potarł spocone czoło. – Tak czy inaczej, po wszystkim nie wiedziałem, co mam robić. Jeżeli ktoś wytypował mnie wcześniej na zamachowca, może teraz obserwować moje mieszkanie, muszę się gdzieś zaszyć. Pomożesz?

Talar z dziwnym wyrazem twarzy lustrował wzrokiem Kosteckiego.

– Jeżeli ktoś wytypował cię wcześniej na zamachowca, to z pewnością obserwuje też mnie.

– Nie miałem wyjścia. Jak tylko pozbędę się tego cholernego implantu, wyjeżdżam i zapominam o całej sprawie. – Kostecki oparł ciężką głowę o ramię. – Nie chcę wpakować się w większą aferę niż ta. Świadomie czy nie, z mojej ręki zginął dziś człowiek – głos mu zadrżał. Spod pozoru hardości wyzierało przerażenie i poczucie braku kontroli, niczym u dziecka, które bawiąc się w przypalanie owadów szkłem powiększającym, wywołało pożar lasu.

– Hej, *que pasa*, *amigo*? – Talar trącił go w ramię, przygotował kolejną szklankę z wódką. Był nieco sztucznie wyluzowany, ale Kosteckiemu to wystarczyło, by równie sztucznie się uśmiechnąć. – Zrobimy, jak mówisz. Mam znajomego neuroimplantologa, który jest mi winien przysługę. Jutro będzie miał okazję się zrewanżować. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Dzięki. – Zmęczony Kostecki uśmiechnął się lekko.

– Tymczasem wrzuć ten płaszcz i spodnie do pralkosuszarki, weź prysznic. – Talar puścił mu oko. – Inaczej w życiu nie wywabię z fotela tego fetoru zdechłego szczura.

7.

Podwarszawska Klinika Implantologiczna ImplaTECH – największy ośrodek tego typu w Europie. Potężny kompleks trzydziestopiętrowych

wieżowców połączonych centralnym budynkiem w kształcie walca. Z powietrza budynek wyglądał jak sześcioramienna gwiazda ze szkła i betonu.

Ośrodek był też centrum badawczym i konstrukcyjnym. Tu powstawały prototypy hydrowszczepów i endoprotez ruchowych, fermy narządów wewnętrznych i estetycznych ulepszeń wykorzystywanych w chirurgii plastycznej, hodowane zarówno z komórek macierzystych, jak również ich syntetycznych zamienników.

Tu też projektowano Mindnet – neurochipy nowej generacji i technologie do ich zastosowania, którymi ImplaTECH planował podbić świat. Jak dotąd skorzystało z nich niewielu, między innymi Krzysztof Talar i – po znajomości – Jarosław Kostecki, który po ostatnich przeżyciach zdecydował się zwrócić towar.

– Doktor Probosz już panów oczekuje – poinformowała eteryczna blondynka w okienku rejestracyjnym. Ruszyli przez sterylnie białe korytarze.

Klinika tętniła życiem. Sale były pełne mówiących różnymi językami pacjentów czekających na zabiegi: czy to wszczepienia świeżej wątroby, czy to amortyzatorów dla stawów kolanowych, stymulatorów rozwoju połączeń neuronowych, udrożnienia żył i odmłodzenia mięśnia sercowego, czy też bardziej prozaicznych i cieszących się niesłabnącym powodzeniem – powiększenia piersi i penisa.

Wjechali windą na dwudzieste piąte piętro i udali się korytarzem w lewo. Doszli do rozsuwanych drzwi z przydymionego, zbrojonego pleksiglasu, pilnowanych przez czterech uzbrojonych wartowników. Talar pokazał firmową legitymację, strażnik skinął głową i wpuścił ich do środka. Kostecki nie pamiętał, by w drodze na zabieg wszczepienia chipu mijał jakąkolwiek straż.

– Witajcie, panowie – przywitał ich łysiejący na czubku głowy lekarz z czarną kozią bródką i okularami w rogowych oprawkach, noszonymi wyraźnie przez snobizm. Trudno uwierzyć, by lekarz pracujący w takim miejscu musiał borykać się z wadą wzroku. I łysieniem.

– Nazywam się Wiktor Probosz, będę dziś pana chirurgiem. – Uścisnął rękę Kosteckiemu, który uśmiechnął się w podzięce. Gdy lekarz oddalił się, by wydać komendy pielęgniarkom, Kostecki zwrócił się do Talara:

– Jak to „pana chirurgiem”? Ty nie usuwasz chipu?

– Skądże. Jestem przecież pracownikiem ImplaTECH, jak by to o mnie świadczyło? Poza tym… – zbliżył się do ucha Kosteckiego – …myślę, że jest już po sprawie i nic ze strony hakerów mi nie grozi, tobie raczej też. Osiągnęli swój cel, co się miało stać, już się stało. Gdyby szykowali coś jeszcze, przekonalibyśmy się o tym wczoraj. – Wrócił do normalnego głosu. – Ale ciebie rozumiem doskonale, dlatego tu jesteśmy. Miejmy to już za sobą, stary. – Położył Kosteckiemu rękę na barku i poprowadził w kierunku przygotowanej

kozetki zabiegowej z wycięciem, w którym pacjent miał unieruchamianą głowę. Umieszczone wokół niej lampy oświetlały stolik ze sprzętem chirurgicznym. Pielęgniarki były gotowe do zabiegu.

– Proszę się rozebrać i założyć to. – Lekarz wskazał ruchem głowy na kaftan ochronny. Trzymał w ręku strzykawkę i wystukiwał z niej palcem resztki powietrza.

– Co to jest, doktorze?

– Narkoza, rzecz jasna. Bez obaw, będzie pan miał po niej przyjemne sny i obudzi się, jakby nic się nie stało.

– Dziękuję bardzo, wolę bez. Wszczepienie chipu trwało około godziny, usunięcie pewnie potrwa mniej. Wytrzymam, chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Ale…

– Poza tym podobno mózg nie boli, prawda? – uśmiechnął się Kostecki.

– Nie ma narkozy, nie ma zabiegu – powiedział krótko lekarz.

– Jarek, co ty odpierdalasz? Faktycznie trzeba usunąć ci ten implant, bo na mózg ci padło – wtrącił się zdenerwowany Talar. Wszyscy utkwili wyczekujące spojrzenia w Kosteckim, który bynajmniej nie zamierzał ustępować. Zwłaszcza kiedy za plecami Talara zauważył ostre cienie sylwetek strażników odbijające się w pleksiglasie. Wyczekiwali przy samych drzwiach. Coś do niego dotarło.

– Jak ty to, Krzysiu, powiedziałeś…? „Co się miało stać, już się stało”?

Porwał skalpel ze stolika i chlasnął zaskoczonego Talara w twarz. Pielęgniarki krzyknęły przeraźliwie, wartownicy wpadli do pokoju z wycelowanymi karabinami.

– Ani kroku, bo zafunduję waszemu topowemu menedżerowi kolumbijski krawat! – zawołał Kostecki, chowając się za zaskoczonym Talarem i przykładając mu skalpel do szyi.

– Spokojnie, panowie, bez gwałtownych ruchów. – Talar wyciągnął uspokajająco rękę do strażników. – Nie chcielibyśmy uszkodzić naszego najcenniejszego materiału badawczego. Załatwimy to polubownie, prawda Jareczku? Personel, wypad stąd!

Lekarz i pielęgniarki, korzystając z okazji, czym prędzej uciekli z sali, zostawiając za plecami cztery lufy wymierzone w Kosteckiego.

– Teraz rozumiem. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, co? Przetestować ten diabelski wynalazek i przy okazji pozbyć się przeciwnika? – dyszał Talarowi do ucha Kostecki, czując jak serce skacze mu pod wpływem adrenaliny. – To dlatego namawiałeś mnie do tego riotingu... Jak mogłeś mnie tak załatwić, ty skurwysynu, przecież byliśmy przyjaciółmi!

– Weź mnie nie rozśmieszaj – parsknął Talar. – Mając stołek w zarządzie ImplaTECHu, będę mógł kupować sobie takich przyjaciół jak ty za dniówkę. Wiem, że chciałeś mnie wykorzystać by się tu wkręcić, nie jestem idiotą – śmiał się nerwowo, próbując sprowokować adwersarza do popełnienia błędu.

W Kosteckim mózg bulgotał na granicy furii, dodatkowo nakręcanej widokiem krwi spływającej obficie po twarzy zakładnika.

– Do tyłu, skurwysyny! W stronę drzwi! – krzyknął do strażników. – Czekaj, niech tylko świat się dowie, kto naprawdę stał za tym zamachem… spieprzyliście sprawę! Facet stanie się męczennikiem, a wy będziecie skończeni! Akcjami ImplaTECHu będzie można sobie dupę podetrzeć, a w tym pięknym gmachu otworzą największy na świecie burdel, skoro i tak pracują tu same sprzedajne kurwy!

– Oj Jarek, Jarek… naprawdę myślisz, że ryzykowalibyśmy taki scenariusz? Jak ty nic nie wiesz… nic nie rozumiesz!

Strażnicy byli już przy drzwiach, ramię w ramię, blisko siebie. Wystarczająco blisko.

– Rozumiem jedno. Uznaj naszą przyjaźń za zakończoną! – Chwycił Talara jedną ręką za włosy, drugą od tyłu za krocze i podniósł, robiąc z niego poprzeczny taran. Z opętańczym krzykiem ruszył na zaskoczonych jego siłą i szybkością strażników.

"Neuropianka! Skubaniec ma pod spodem neuropiankę!" pomyślał Talar. "Chyba jednak nie jest takim idiotą, za jakiego go uważ…"

Zbrojony pleksiglas trzasnął i wypadł z ram, wypchnięty przez wgniecionych w niego strażników. Impet połamał im żebra, wyszarpnął broń z rąk. Dodatkowo przygniótł ich Talar. Charczał i pluł krwią, która spływała z rany na policzku i zalewała mu usta. Kostecki stał nad nimi ze zdobycznym karabinem w ręku.

– Niech się stanie to, co ma się stać… przyjacielu – szepnął Talar.

Kostecki nic nie powiedział. Strzelił. I poczuł, że nie może zrobić nic więcej.

Milion gwiazd rozbłysło mu przed oczami. Stał sztywno z mięśniami stężałymi jak beton. Umysł był więcej niż świadomy, rwał się do ucieczki, ciało jednak odmawiało posłuszeństwa. Jedynym sygnałem, że jeszcze działa, był oddech. Bardzo płytki. I ruszające się oczy.

Kostecki usłyszał za sobą dźwięk uchylanych drzwi i zbliżające się kroki. Zza pleców wyłonił się wyglądający na trzydziestolatka człowiek z nienaturalnym blaskiem w oczach. Eliasz Gutz.

– Obserwowałem wasze poczynania na monitorach, pełen podgląd i nasłuch. Niewiarygodne, w rzeczy samej… wystarczy mi dziesięć tysięcy takich

jak ty i nie będę musiał oglądać się na żadną Radę Kanclerską – mówił, stojąc centymetry od jego twarzy. Przyglądał się Kosteckiemu jak małpie w ZOO. Co za upokorzenie. – Nie chciałeś współpracować, więc musiałem cię „zawiesić". Przykro mi. – Wskazał trzymane w ręku urządzenie. – Ale nie martw się, moi inżynierowie przywrócą cię do stanu używalności. Chociaż… zważywszy na to, co jeszcze musimy na tobie sprawdzić, pewnie wolałbyś pozostać w tym stanie.

Ten jego nieludzko aksamitny głos, płynność ruchów, nienaganny ubiór. Nawet włosy były nieruchome, idealne.

– A nim się nie przejmuj, dziękuję, że mnie wyręczyłeś. – Gutz popatrzył z niesmakiem na przestrzeloną głowę Talara. – Wbrew pozorom nie toleruję sprzedajnych kurew. Panowie, zanieście pana Kosteckiego do laboratorium, rozbierzcie i przymocujcie do łóżka – zaordynował podnoszącym się z posadzki strażnikom.

8.

Kostecki leżał skrępowany, wpatrując się w telewizor przytwierdzony do wysięgnika nad łóżkiem. Na antenie stacji InfoSat rozpoczynała się nadzwyczajna konferencja prasowa Kanclerza Rzeczpospolitej Polskiej i Prezesa ImplaTECHu, Eliasza Gutza.

– Szanowni Państwo, dziękujemy bardzo za tak liczne przybycie. Dziękuję Panu Kanclerzowi, że pozwolił mi zabrać głos jako pierwszemu. Obiecuję za to, że do Pana Kanclerza będzie należało ostatnie słowo – uśmiechnął się Gutz. – Zebraliśmy się tu, by z wielką przyjemnością ogłosić nową erę w medycynie syntetycznej. Chciałbym jednak, by opowiedział o tym nasz specjalny gość. Przywitajcie go brawami.

Kurtyna za podium uchyliła się i do mównicy podszedł… Maciej Cezarewicz. W kołnierzu ortopedycznym i o kulach, ale o własnych siłach. Po sali przeszedł szum niedowierzania.

– Witam państwa. Rozumiem wasze poruszenie, sam nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. To, że jestem tutaj z państwem, zawdzięczam ImplaTECHowi. Choć wydaje się to niewiarygodne, neurochirurgom ImplaTECH udało się nastawić złamany kark i zrekonstruować połączenia nerwowe w moim rdzeniu kręgowym – mówił ze wzruszeniem Cezarewicz. – Dokonali tego przy użyciu zmutowanych komórek macierzystych, mikroskopijnych stymulatorów elektrycznych oraz implantu, który przejął na siebie funkcje życiowe w kluczowych chwilach, zanim mózg odzyskał pełną sprawność. Ja… – przerwał na chwilę, łza pociekła mu z pokrytego bielmem oka – …najwyraźniej

musiałem przejść przez śmierć, by zrozumieć, jak bardzo się w kwestii implantologii myliłem. Chciałbym, aby moje stowarzyszenie zamiast bojkotu i protestu weszło na drogę współpracy, abyśmy stworzyli rozwiązania prawne i systemowe najwłaściwsze dla dobra społeczeństwa, ale uwzględniające przy tym interes przedsiębiorczości i państwa.

– Ze swojej strony pragnę nadmienić, że z dniem dzisiejszym rozpoczyna działalność komisja kanclerska zrzeszająca wszystkie zainteresowane strony – dodał Kanclerz RP. – Gdy jej obrady przyniosą szczęśliwe owoce, zwrócę się do Rady o przyznanie nadzwyczajnej pomocy finansowej na wsparcie badań i rozwoju implantologii, a także dotacji do eksportu, by przemysł ten w krótkim czasie stał się wizytówką Polski na świecie.

Dziennikarze nie zadawali żadnych pytań. Zamiast tego zgotowali Cezarewiczowi owację na stojąco. Ten zmieszany drapał się w tył głowy po gołej skórze, miejscu, w którym kamera wychwyciła świeżą bliznę po wszczepieniu implantu.

Kostecki długo i bezsilnie wpatrywał się w monitor. A potem zrobił jedyne, co mógł. Zamknął oczy.